GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 MARZEC 1934
NR. 6 ROK IV

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 6
1934 R.
15 — III

ZDARZENIA i POGLĄDY

POKÓJ CELNY Z NIEMCAMI.

Czy protokół polsko - niemiecki z dnia 9 marca likwidujący wojnę celną, jest przełomem w stosunkach gospodarczych polsko - niemieckich? Tak i nie. Tak — bo jest on pierwszym — po dziewięciu latach narastania ograniczeń — krokiem w kierunku przeciwnym, w kierunku usunięcia specjalnych dyskryminacyj. Nie — bo zgrubsza biorąc, znosi on tylko dyskryminacje *specjalne*, nie dotykając natomiast szeregu materji regulowanych w „klasycznych" układach handlowych.

Czy jest on dla obu kontrahentów korzystny? Nie zamierzamy podejmować próby bilansowania ciężarów i korzyści, bardzo trudnej wogóle, a niemożliwej w ramach naszych krótkich rozważań. Natomiast w dzisiejszych czasach wszelkie rokowania mają charakter rokowań nie o *warunki* przywozu i wywozu, ale wręcz bezpośrednich rokowań o *ukształtowanie* bilansu handlowego czy nawet płatniczego. Jak się zdaje, w negocjacjach polsko - niemieckich ten moment, ze zrozumiałych przyczyn, był jeszcze bardziej zaakcentowany. Pozwala to oczekiwać równowagi korzyści dla obu stron, oczywiście w tych granicach, w jakich wogóle możliwe jest przewidywanie w dziedzinie, w której od dziewięciu lat panowały anormalne stosunki.

Czy za osiągane dla handlu zagranicznego korzyści, protokół nie każe płacić zbyt wysokiej ceny w płaszczyźnie interesów wytwórczości krajowej? Znowu pomijając kwestję ścisłego bilansowania, możemy odpowiedzieć zdecydowanie: nie. Podstawowe elementy autonomicznego regulowania przywozu pozostają bowiem w obu krajach nienaruszone.

Czy dojście porozumienia do skutku jest wyrazem zwrotu w polityce ogólnej i gospodarczej obu państw? Jeśli idzie o Polskę — nie. Gotowość do porozumienia gospodarczego z Niemcami nie jest u nas nowością. Jeśli chodzi o Niemcy, trudno byłoby odpowiedzieć równie kategorycznie. Wprawdzie z podpisaniem protokółu nie wiąże się zmiana żadnych istotnych założeń niemieckiej polityki handlowej, ale natomiast jest rzeczą aż nadto wymowną, że żaden z dotychczasowych rządów niemieckich nie zdobył się na danie realnym interesom *supremacji* ponad iluzje, przesądy i, mówiąc najoględniej, niegospodarcze tendencje, sprzeciwiające się znalezieniu modus vivendi z Polską.

Jaki efekt dla całokształtu stosunków gospodarczych Polski z zagranicą może mieć porozumienie marcowe? Bezpośredni, w sensie przesunięć w kierunkach przywozu i wywozu, raczej skromny. Pośredni, w sensie wzmocnienia naszej pozycji negocjacyjnej wobec krajów trzecich, raczej dodatni.

Najłatwiej odpowiedzieć na pytanie, czy suma summarum protokół jest zjawiskiem pozytywnem. Najłatwiej, bo do tego zbyteczne są szczegółowe obliczenia cyfrowe. Jest to krok, krok naprzód w dziedzinie, w której panował zastój. Jest to usunięcie szeregu anomalji.

To bardzo dużo, zwłaszcza w czasach, stojących pod znakiem odmiennym, pod znakiem narastania sztucznych konstrukcyj i wyrafinowanych ograniczeń w handlu międzynarodowym.

CZESŁAW BOBROWSKI

UKŁAD GOSPODARCZY Z NIEMCAMI

Na tle zawartych ostatnio przez Polskę traktatów handlowych, porozumienie polsko niemieckie wygląda na oko bardzo skromnie. Weźmy np. traktat z Czechosłowacją, który zawiera kilkaset zniżek celnych z obydwu stron, podczas, gdy w porozumieniu polsko - niemieckiem niema ani jednej. Weźmy traktat polsko - austrjacki, polsko-szwedzki, słowem, każdy traktat z poważniejszym kontrahentem, poważniejszym odbiorcą czy dostawcą Polski. Porozumienie polsko - niemieckie, jeśli chodzi o jego część zasadniczą, ogranicza się do 10 artykułów, do kilkudziesięciu wierszy druku. Rzecz inna, że ta część zasadnicza nie wyczerpuje całokształtu dokumentów, w których utrwalone zostało osiągnięte porozumienie stron, że obok właściwej umowy, zawarty został przez czynniki urzędowe obszerny układ kontyngentowy, szczegółowe porozumienie co do tranzytu z Polski przez Niemcy produktów hodowlanych, a przez czynniki prywatno - gospodarcze porozumienia co do obrotu wyrobami hutniczemi oraz w sprawach żeglugowych. O ile można sądzić, rozmiar tych dodatkowych dokumentów wielokrotnie przekracza rozmiar zasadniczego protokółu.

Mówię o tych zewnętrznych szczegółach, gdyż, jak zwykle, i w tym wypadku, różnica formy jest wyrazem różnicy treści. Zwięzłość protokółu jest rezultatem tego, iż z pośród bogatego wachlarza stypulacyj, zamieszczanych normalnie w traktatach handlowych, tylko nieznaczna część znalazła się w porozumieniu polsko - niemieckiem, że pod względem norm, regulujących obrót towarowy, nastąpiła zmiana naogół tylko w dziedzinie zarządzeń specjalnych, bojowych, czy pośrednio z wojny celnej wynikających, podczas kiedy zagadnienia, zazwyczaj w drodze traktatów handlowych załatwiane, jak przedewszystkiem rewizja autonomicznego obciążenia celnego, pozostały poza nawiasem porozumienia. Szeroki zakres porozumień dodatkowych wynika tyleż z szerokiej w dzisiejszych czasach, a więc wymagającej szczegółowego unormowania, rozbudowy przepisów regulujących obrót zagraniczny, co z faktu, że w stosunkach pomiędzy dwoma sąsiedzkiemi krajami, które są dla siebie nawzajem, nawet przy stanie wojny celnej, poważnymi klijentami, zasięg posunięć formalnie niezbyt daleko idących, materjalnie musi być znaczny.

Te rozważania doprowadzają do usprawiedliwienia uwagi, z jaką opinja obu krajów odniosła się do porozumienia, które pod względem formalnym, ogranicza się bezmała do postanowień negatywnych, coś *znoszących*. Niewątpliwie, że działa tu również i specjalny czynnik — fakt zawarcia porozumienia po 9 latach wojny celnej, po pewnej ilości prób złagodzenia, czy zlikwidowania wojny, prób, które jednakowoż doprowadziły jedynie do unormowania obrotów na drobniejszych odcinkach.

Ale nietylko kwestja wspomnień z niedawnej historji konfliktu celnego polsko - niemieckiego, nietylko moment sensacyjności dojścia do porozumienia właśnie w okresie, kiedy na świecie wiele, zdawałoby się, mocnych węzłów handlowo - politycznych pęka, nietylko wreszcie wiązanie porozumienia gospodarczego z niedawnym paktem o nieagresji powoduje koncentrowanie uwagi na protokóle z 7 marca r. b. Dotyczy on przecież stosunków pomiędzy dwoma krajami, które mają 1912 km. wspólnej granicy, których struktura gospodarcza nie jest tak zbliżona, ażeby niwelować możliwości obrotów, jak to mamy z naszym sąsiadem wschodnim, krajów, które oddzielają siebie nawzajem od wielkich kompleksów geograficznych, jeden od zachodu, drugi od wschodu Europy. Podkreślam te, zdawałoby się, znane aż nadto okoliczności, bowiem pod wpływem całego szeregu momentów, po 9 latach wojny celnej, w opinji zaczynała się zacierać świadomość, jak wiele czynników objektywnych, naturalnych, działa w kierunku wzmożenia wymiany polsko - niemieckiej.

Powyższych uwag nie należy rozumieć w ten sposób, ażebym sądził, że w stosunkach polsko-niemieckich nie istnieją żadne czynniki, wynikające z przesłanek o nieprzemijającem znaczeniu, a działające hamująco na rozwój obrotów. Śmiem jednakowoż twierdzić, że jeśli chodzi o rynek niemiecki, jest ich mało, — nieporównanie mniej, niż odnośnie rynku polskiego. Polityka handlowa polska w stosunku do każdego kraju, a więc i w stosunku do Niemiec, opierać się musi na założeniach, wynikających z tej fazy, w jakiej obecnie Polska w dziejach swego rozwoju gospodarczego się znajduje, założeniach, których wagę podkreśla jeszcze olbrzymi przyrost ludności w Polsce. Chodzi tu oczywiście o tendencję przekształcania struktury Polski z kraju rolniczego (czy rolniczo - przemysłowego z akcentem na pierwszem słowie) na kraj o większym stopniu uprzemysłowienia. Stąd w naszych warunkach wynikają postulaty pewnego (jak najbardziej zresztą umiarkowanego) protekcjonizmu [1]) w stosunku do rodzących się gałęzi wytwórczości, a jednocześnie postulat utrzymania wywozu rolnego i wywozu surowców, czy tych prostszych wytworów fabrycznych, które już weszły do naszego repertuaru wytwórczego i wywozowego. Tak pojęte postulaty naszej polityki handlowej nie są niczem więcej, jak ścisłym wykładnikiem „czasu i miejsca", wykładnikiem warunków naturalnych i naturalnych tendencyj rozwojowych gospodarstwa narodowego Polski.

Jak wiemy, wojna celna zrodziła się z nie-

[1]) Nie śmiałbym twierdzić, że polityka celna lat ostatnich utrzymała się w granicach tego postulatu.

zrozumienia przez naszego partnera, jakie miejsce pod słońcem wyznaczają nam warunki objektywne i wola narodu. Niezrozumienie to zaostrzyły jeszcze momenty polityczne, fałszywy obrachunek sił, sprowadzający się — zaryzykujmy to słowo — do lekceważenia Polski. Dodatkowego pogłębienia doznały ograniczenia obrotu polsko - niemieckiego na tle niemieckich tendencyj do autarkji rolniczej. Pozornie pomiędzy niemieckiem dążeniem do reagraryzacji a polską tendencją industrjalizacyjną istnieje analogja. przypuszczam nawet. że przy dzisiejszym stanie umysłów w Niemczech trudno byłoby większości opinji niemieckiej wytłomaczyć, że tej analogji niema. Ale tem niemniej te dwa dażenia mają charakter wręcz odmienny. Jedno zgodne jest z ogólną linją rozwoju gospodarczego świata, drugie — sprzeczne. Jedno stwarza dodatkową bazę dla wzmożenia udziału w handlu międzynarodowym (industrjalizacja zawsze zwiększała pojemność danego rynku na towary importowane), drugie — buduje wokół Niemiec mur. ciążąc jednocześnie na niemieckich możliwościach eksportowych. Jedno wypływa wyłącznie z przesłanek gospodarczych i prawa trzydziestomiljonowej ludności do osiągnięcia przynajmniej minimum egzystencji, drugie — ma u podkładu dążenia zupełnie innej natury.

Dlatego właśnie odważyłem się twierdzić. że w zakresie stosunków polsko - niemieckich warunki objektywne (mimo że absolutnie nie prowadzą do stwarzania polsko - niemieckiego Wirtschaftsraumu), sprzyjają wzmaganiu się wymiany towarowej i że w stosunku do rynku niemieckiego nie widzę istotnie objektywnych czynników, działających w kierunku przeciwnym — skoro autarkję rolniczą uważać muszę za dążenie raczej sprzeczne z zespołem warunków objektywnych. Rzecz inna. że tendencje reagraryzacyjne są faktem i że cały kompleks niemieckiej sytuacji gospodarczej prowadzi do polityki forsowania wywozu, w ostatnich czasach z wykorzystywaniem szerokiego repertuaru „nowoczesnych“ środków obniżania ceny eksportowej towaru. co musi wywoływać łatwo zrozumiałą nerwowość ze strony gałęzi wytwórczości, stojących wobec perspektywy konkurowania z przywozem z Niemiec. W tych właśnie dwuch tendencjach niemieckiej polityki eksportowo - importowej znajdujemy owe czynniki hamujące. W stosunkach polsko - niemieckich wysuwa się oczywiście na czoło moment pierwszy, tendencja reagraryzacji.

Bez względu na to, czy w danem założeniu polityki handlowej każdego z obu sygnatarjuszy protokółu z dnia 7 marca dopatrywać się będziemy tendencji trwałej czy przemijającej. zdrowej czy niezdrowej. nasilenie dwuch zasadniczych założeń, a więc w Polsce — dążenia do rozbudowy przemysłu, w Niemczech — do reagraryzacji. jest dziś natyle silne. że wszelkie porozumienie handlowo - polityczne Polski czy Niemiec musi pozostawać w zgodności z niemi. I dlatego właśnie możliwe było zawarcie ostatniego układu. że nie narusza on w założeniu podstawowych wytycznych. o których była wyżej mowa. Dlaczego? Bo w Polsce ochrona przemysłu nie opiera się o zarządzenia bojowe z okresu wojny celnej. Mniejsza z tem, czy słuszniejsza jest teza, że rozbudowę wytwórczości przemysłowej na szeregu odcinków zawdzięczamy wojnie celnej. czy też teza, że rozbudowa ta jest rezultatem naturalnego biegu wypadków, któremu sprzyjało sztuczne ograniczenie przywozu z Niemiec. Dziś te nowe, czy rozbudowane gałęzie wytwórczości zdołały okrzepnąć, a chroni je w stopniu powszechnie chyba uważanym za dostateczny (jeśli nie nadmierny) nowa taryfa celna oraz rozbudowany system reglamentacji przywozowej. Ani jednego, ani drugiego umowa polsko - niemiecka nie zmienia. Nie jest bowiem zmianą przyznanie Niemcom II-ej kolumny taryfy celnej, z której korzystali oni od chwili wejścia w życie nowej taryfy, ani też przyznanie pewnych kontyngentów, zawierających się w ramach naszej ogólnej polityki kontyngentowej. Również nietknięty pozostaje niemiecki system protekcji rolnej, nieoparty oczywiście o zarządzenia antypolskie, lecz o system autonomicznych ceł prohibicyjnych (których poziom ostatnio przekroczył niejednokrotnie poziom dawnych ceł bojowych).

Ramy praktycznych możliwości wywozowych otwierających się w związku z omawianym układem, wynikają z powyższych uwag. Trudno byłoby mówić o zmianach przewrotowych, jeżeli się zważy na to. że prohibicja celna importu rolnego w Niemczech obejmuje właśnie nasze zasadnicze towary eksportowe i że w zakresie przywozu z Niemiec do Polski najważniejsze artykuły z pośród objętych dotychczas wojną celną znajdą się pod reżimem reglamentacji przywozu. tak szeroko w międzyczasie rozwiniętej. Nie w charakterze proroctwa, a raczej dla zorjentowania w skali zmian, którychby można oczekiwać, wymienić można cyfrę wzrostu obrotów o jakieś kilkanaście czy dwadzieścia kilka procent. Lista artykułów. dla których otwarły się możliwości wywozowe do Niemiec, obejmuje w pierwszym rzędzie wyroby hutnicze, produkty naftowe. drzewo tarte i niektóre wyroby drzewne. niektóre wyroby chemiczne. W przywozie z Niemiec możliwości otwierają się dla artykułów przemysłu metalowego, maszynowego, skórzanego, ceramicznego. szklanego i t. d. Dostosowaniu do ogólnej zasady zniesienia utrudnień specjalnych ulega szereg przepisów, z obu stron stosowanych w dziedzinie obrotu towarowego. W szczególności nie będzie w przyszłości stosowana dyskryminacja z uwagi na pochodzenie towaru przy przyznawaniu autonomicznych ulg celnych. Niemiecki system w tej dziedzinie ogranicza się jedynie do działu produktów naftowych. nasz obejmuje cały szereg artykułów. przedewszystkiem maszyn, niewyrabianych w kraju, a przywożonych na cele produkcyjne. Nawiasowo zaznaczyć warto. że obok korzyści w płaszczyźnie obrotu towarowego, udostępnienie ulg celnych na tego rodzaju maszyny niemieckie ułatwi i potani procesy inwestycyjne

i modernizacyjne w przemyśle krajowym. Jak wynika z charakteru ulg celnych autonomicznych, udzielanie ich należy do zakresu swobodnego uznania władz i. w harmonji z założenie mogólnem, układ usuwa tu jedynie stosowanie dyskryminacyj.

W dziedzinie tranzytu przez Niemcy uzyskujemy zarówno możność przewozu przez terytorjum Rzeszy, jak i usunięcie trudności, napotykanych dotychczas przy tranzycie przez kanał Kiloński. Ułatwienia te stanowią poważne ogniwo w procesie związywania się z zachodnio - europejskiemi rynkami zbytu, procesie, który, nawiasem mówiąc, co nie jest pozbawione pewnej ironji, został nam „podsunięty" przez niemieckie utrudnienia dla polskiego eksportu hodowlanego.

Niewątpliwie dużej doniosłości jest zniesienie przepisów, uniemożliwiających przewóz przez porty niemieckie towarów importowanych do Polski z państw trzecich, a podlegających reglamentacji. Dużej — z punktu widzenia portów niemieckich, które dotkliwie wyczuwały stratę tych ładunków i dużej z punktu widzenia linij, w tym rzędzie polskich, utrzymujących komunikację bezpośrednią między Gdynią a portami państw trzecich. Dla tonażu polskiego, jako całości, kompensatę stanowi zabezpieczenie pewnego udziału w przewozach z portów niemieckich do portów polskich. Dla Gdyni, jako portu przeładunkowego, wbrew łatwo zrozumiałym obawom, jakim dawała ostatnio wyraz prasa, w założeniu niebezpieczeństwa niema, gdyż pozycji portów polskich broni system ceł morskich. Mniej korzystnie przedstawiają się szanse Gdyni, jako portu handlowego, gdyż niewątpliwie przewóz przez porty niemieckie spowoduje wzmożenie się udziału kupiectwa niemieckiego w naszym handlu zagranicznym. Czy te środki opieki nad handlem gdyńskim, jakie w ramach specjalnych ustaw i akcji rządowej zostały stworzone oraz aktywność elementu kupieckiego w Gdyni okażą się wystarczające, ażeby zapewnić dalszy postęp w kierunku przekształcania Gdyni z portu przeładunkowego na ośrodek handlowy, trudno powiedzieć. Jak wspomnieliśmy wyżej, pewne środki opieki nad handlem gdyńskim, leżące w granicach naszej polityki wewnętrznej, pozostają nadal do dyspozycji. No a pozatem, gdzie jak gdzie, ale w tej sprawie decyduje czynnik ludzki i w tej przedewszystkiem płaszczyźnie rozegrają się losy Gdyni, jako portu handlowego.

O treści układu nie pozostaje mi wiele do dodania, z wyjątkiem tego, że prywatne porozumienie hutnicze zapewnia nam stały kontyngent zbytu, stwarzając jednocześnie ochronę przed przywozem z Niemiec sortymentów wyrabianych w kraju. Więcej można byłoby powiedzieć o tem, czego w układzie niema. Niema otwarcia drzwi dla wywozu rolnego, a ogólniej biorąc, niema przywrócenia względnej swobody obrotów. Niema tego, co w tej chwili ze względu na całokształt sytuacji w handlu międzynarodowym, a specjalnie ze względu na niemiecką politykę agrarną, nie jest możliwe. Czy będzie to możliwe kiedyś? Prasa niemiecka sugeruje, że porozumienie z dnia 7 b. m. jest pierwszym krokiem do traktatu handlowego. Gdyby enuncjacja ta pochodziła od p. Ministra Darré, przeciwnicy ograniczania obrotów międzynarodowych mogliby się naprawdę cieszyć. Bez tej kontrasygnaty głosy prasy niemieckiej, nie tracąc nic ze swej sympatyczności czy symptomatyczności, tracą „nieco" na realności. Może kiedyś...

Może kiedyś... Określenie porozumienia polsko-niemieckiego, jako skoku w ciemność dlatego nie wydaje się zupełnie stosowne, że tkwi w niem supozycja zetknięcia się w ciemnościach z przedmiotami twardemi i nieprzyjemnemi w zetknięciu. Jest to jednak skok w ciemność o tyle, że po 9 latach ograniczonych i nienormalnych stosunków szczególnie trudno z samej formalnej treści przepisów porozumienia wydedukować ich materjalny rezultat. Z biegiem czasu sytuacja stanie się jaśniejsza, z biegiem czasu ujawnia się rezultaty tego najważniejszego z postanowień umowy, które nie jest zawarte w żadnym paragrafie i którego nie omawialiśmy dotychczas: rezultaty usunięcia anormalności — wprowadzenia w stosunki polsko-niemieckie zdrowego powietrza.

WALNE ZGROMADZENIE

członków „GOSPODARKI NARODOWEJ". Spółdzielni z ogr. odp. w Warszawie.

Dnia 10 kwietnia 1934 r. (wtorek) o godz. 20-ej w lokalu dwutygodnika „Gospodarka Narodowa". Szpitalna 4 m. 18, odbędzie się

DOROCZNE WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW „GOSPODARKI NARODOWEJ",

spółdzielni z ogr. odp. w Warszawie,

z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Wybór prezydjum Zebrania.
3. Sprawozdanie za rok 1933.
4. Przyjęcie bilansu oraz rachunku strat i zysków.
5. Podział czystego zysku.
6. Projekt budżetu na rok 1934.
7. Wybory Rady Nadzorczej.
8. Wolne wnioski.

RADA NADZORCZA:

(—) Cz. Bobrowski.

(—) K. A. Kolanowski.

(—) K. Sokołowski.

Warszawa, dnia 15 marca 1934 r.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

KROK WPRZÓD, KROK W TYŁ

Rozwiązanie klęski bezrobocia, spotęgowanej przez kryzys, ale wytworzonej zasadniczo przez nie wyciągnięcie konsekwencyj gospodarczych z postępu technicznego, nie jest możliwe bez skrócenia czasu pracy.

Jedną z naczelnych zasad naszej polityki gospodarczej jest powstrzymywanie się od robienia eksperymentów. Natomiast mamy obserwować cudze eksperymenty i wykorzystywać te zpośród nich, które są udane i które nadają się do zastosowania w naszych warunkach i do naszych potrzeb.

Przyznać się muszę, że zbyt ostre podkreślenie tej zasady i zbyt rygorystyczne jej stosowanie musiałoby mnie razić, gdyż byłoby to równoznaczne z wyrzeczeniem się tworzenia własnych koncepcyj i własnych pomysłów, które rodząc się z rodzimej gleby chyba najlepiej nadawałyby się do rozwiązywania zagadnień, wyrosłych na tejże glebie. Przykład, jaki mamy w dziedzinie politycznej, jest wcale zachęcający i pouczający. Niemniej jednak sprawiedliwość nakazuje przyznać, że eksperymenty w dziedzinie gospodarczej są istotnie niebezpieczne i ostrożność jest tu wysoce wskazana. Obserwowanie cudzych eksperymentów również.

Weźmy sprawę bezrobocia. Krajem, w którym bezrobocie, jako zjawisko socjalne, istnieć przestało jest Z. S. R. R. Jest to zresztą zrozumiałe i logiczne: w kraju, w którym wszystkie środki produkcji należą do państwa i w którem panuje zasada: kto nie pracuje ten nie je, nie może być bezrobocia. Państwo *musi* dać obywatelowi pracę wraz z środkami do życia, bo inaczej ustrój sowiecki przekreśliłby rację swojego istnienia. Państwo może wprawdzie dać obywatelowi tylko środki do życia, ale to się z szeregu względów nie opłaca. Daje więc i pracę, chociażby wynik pracy obywatela nie pokrywał się z wartością udzielanych środków do życia. Tak samo, jak w patrjarchalnej rodzinie utrzymuje się nieraz niektórych członków rodziny, chociaż spełniają oni tylko drobne, mało wartościowe posługi.

W ZSRR. rozwija się duży ruch inwestycyjny. Ruch, stwarzający wzrost zapotrzebowania na pracę. Ale ten wzrost sam przez się nie byłby dostateczny do skonsumowania nadwyżki niezatrudnionych, do zlikwidowania bezrobocia jako zjawiska socjalnego. Wyjaśnienia tego faktu musimy szukać gdzieindziej: w metodzie zatrudnienia wielkiej ilości rąk roboczych ponad niezbędną ich potrzebę. Kierownicy sowieckiej nawy państwowej twierdzili niedawno, że w fabrykach, w których oficjalnie panuje siedmio-godzinny dzień pracy, faktycznie pracuje się do pięciu godzin dziennie. W instytucjach, urzędach, kolektywach rolnych, zatrudnia się bardzo duże ilości ludzi, ilości, nieproporcjonalne do istniejącej tam pracy. Z punktu widzenia organizacji pracy, organizacji gospodarstwa społecznego, jest to stwarzanie fikcji pracy, rozbudowa i tak już rozrośniętej biurokracji. Ale w płaszczyźnie zartudnienia jest to zwiększenie ilości zatrudnionych. Państwo sowieckie zakazując indywidualnej inicjatywy, nie może pozbawić ludzi pracy, musi im tę pracę zapewnić. Dąży więc wszelkiemi środkami do rozbudowy warsztatów pracy, a tymczasem decyduje się raczej na tolerowanie przerostu biurokracji, i nieróbstwa w fabrykach, niż na zmniejszenie stanu zatrudnienia. Rzecz inna, że w tych warunkach i na tle ogólnej polityki gospodarczej Sowietów przydział dochodu społecznego na głowę ludności, dochodu przeznaczonego na cele konsumcji osobistej, znacznie zmalał, że ta suma wartości, jaką otrzymuje za pracę robotnik sowiecki, jest mniejsza, od tego, co otrzymuje robotnik europejski w krajach kapitalistycznych.

Zreasumujmy. Zagadnienie bezrobocia w ZSRR zostało rozwiązane częściowo drogą forsowania inwestycyj, ale w znacznej części również drogą bardzo daleko idącego faktycznego skrócenia czasu pracy.

* * *

Współzależność między bezrobociem i czasem pracy jest niewątpliwa. Skrócenie czasu pracy, jako środek likwidacji lub zmniejszenia bezrobocia, narzuca się z całą siłą prostego i logicznego wniosku, wynikającego z powszechnie znanych i boleśnie odczuwanych przesłanek. W ustroju opartym na prywatnem posiadaniu środków produkcji, trudno myśleć o stosowaniu drugiego środka, jakim są wielkie planowe inwestycje. Państwo współczesne poczuwa się do obowiązku zapewnienia swym obywatelom środków do życia, ale nie może ich dostarczyć drogą bezpośredniej działalności gospodarczej. Wpływa zatem różnemi drogami na podział dochodu społecznego w kierunku przekazania części tego dochodu bezrobotnym. Współczesne państwo kapitalistyczne nie uznaje zasady — „kto nie pracuje ten nie je" — bo nie ma moralnego prawa jej uznawać, skoro nie może dostarczyć pracy. Nie mniej jednak zasada ta panuje w życiu tych, co oprócz pracy nic nie mają do sprzedania. Posiadanie pracy jest dla tych obywateli państwa jedynym prawnym tytułem do części dochodu społecznego, prawnym, bo tytułu moralnego dziś już nikt chyba nie zaprzecza. Państwo zasadniczo może skrócić czas pracy i spowodować tem zarządzeniem zatrudnienie większej ilości obywateli. Na tej logicznej możliwości były oparte projekty, wysuwane w swoim czasie w Lidze Narodów. Rozumowano, że pojedyńcze państwo nie zdecyduje się na takie posunięcie i że byłoby tu potrzebne szersze porozumienie międzynarodowe. Nic z tego nie wyszło.

Dziś Roosevelt podjął się realizacji tego projektu, w Ameryce. Chce przy tem pozostawić płace w niezmienionej wysokości. Jeśli brać powyższe zdanie à la lettre, to Roosevelt żąda niemożliwości. Skrócenie czasu pracy jest bowiem dyspozycją o podziale dochodu narodowego między większą ilość ludzi, na głowę zatem musi wypaść mniej. Może mu chodzić o płace nominalne. bo przecież polityka amerykańska dąży do wzrostu cen. Żądanie utrzymania płac na niezmienionym poziomie przy skróceniu czasu pracy musi przyśpieszyć wzrost cen, bo inaczej produkcja przestanie być rentowną. W ZSRR to nie jest argument, ale w U.S.A. jest. Trudno być prorokiem i przewidzieć czy eksperyment Roosevelta się uda. Główna trudność tkwi w oporze wielkiego kapitału. Jest to więc kwestja siły, bo sama sprawa w warunkach wzrastających prądów autarchicznych, ograniczeń handlu międzynarodowego i powszechnego niemal wywozu po cenach niższych od cen krajowych, w zasadzie jest możliwa do wykonania.

* * *

Zajrzyjmy teraz na własne podwórko.

W roku 1932 były u nas podejmowane próby skrócenia czasu pracy. Wyprzedziliśmy tu więc Amerykę i byliśmy zupełnie niezależni od wpływów sowieckich, bo o opisanym powyżej stanie rzeczy w Z. S. R. R. wiedziało w Polsce kilku ludzi, którzy opinji publicznej o tem nie informowali, a z odnośnymi projektami rządowymi nie mieli absolutnie żadnej styczności. Mieliśmy zatem własny eksperyment, który jednak nie został daleko posunięty. Przyczyn zapewne było dużo. Jedną z nich był opór przemysłu, podobnie jak w U. S. A. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że nie jesteśmy w dziedzinie ekonomicznej tak niezależnymi gospodarzami w swoim kraju. jak Amerykanie. Robimy wprawdzie w tym kierunku postępy, w ostatnich dniach szczególnie mocno zaakcentowane. Ale w tej sprawie musieliśmy się cofnąć; nie znaczy to jednak, żeby pomysł był zły, a w szczególności, żeby był „głupstwem“, jak sklasyfikował pomysły o skracaniu czasu pracy jeden z mówców sejmowych, broniący ustawy o przedłużeniu tygodnia pracy z 46 do 48 godzin.

Ustawa ta przekreśliła poprzednie próby walki z bezrobociem drogą skrócenia czasu pracy. Wydanie jej w okresie rozpowszechnienia niepełnego tygodnia pracy nie ma narazie praktycznego znaczenia. Wiemy również, że w Łodzi w tych fabrykach, gdzie praca trwa 6 dni w tygodniu, robotnicy wychodzą w sobotę po 6 godzinach pracy. Fabrykanci nie protestują, bo płace są skalkulowane z uwzględnieniem 46 godzinnego tygodnia pracy. Rynek zbytu jest dziś ograniczony. Fabryki nie mają możności rozszerzać produkcji. Jeśliby więc chciały wykorzystać ustawę i przedłużyć tydzień pracy o 2 godziny, czyli o przeszło 4%, to musiałyby zredukować 4% robotników. Może to nawet i stanie się, jeśli wygaśnie umowa zbiorowa, na mocy której są określone obecne stawki płac. Na koszty produkcji przedłużenie czasu pracy z 46 na 48 godz. w tygodniu nie wpłynie tak zasadniczo, by mogło to obniżyć ceny rynku wewnętrznego, które dla lwiej części wyrobów przemysłowych są normowane nie kosztami produkcji, lecz kartelowemi porozumieniami. Na konkurencyjności eksportu w warunkach wysokich barjer celnych i normowanych kontyngentów również nie zaważy to w sposób widoczny. Ustawa ta może więc mieć dla przemysłu znaczenie dopiero wtedy, gdy fabryki ruszą i ograniczenia w handlu międzynarodowym zostaną zniesione. Ale czy to nastąpi tak prędko? Liczyć się raczej należy z utrwaleniem się polityki autarchji gospodarczej na dłuższy przeciąg czasu. Natomiast w dziedzinie socjalnej przedłużenie czasu pracy może dać skutki ujemne już dziś. Możemy zaryzykować twierdzenie, że przedłużenie czasu pracy w obecnych warunkach to też swego rodzaju eksperyment, ale eksperyment na marginesie tych życiowych zagadnień, rozwiązania których domaga się od nas rzeczywistość, zrobiony dlatego, że można go było zrobić, a nie dlatego, że było potrzeba. Nie idzie on w kierunku tendencji rozwojowej techniki produkcji. która stale redukuje czas, niezbędny do wytworzenia dóbr. Suma robotniko-godzin, zużywanych na wytworzenie określonej ilości dóbr. stale maleje. A zatem jeżeli udział w pracy nad wytwarzaniem jest niezbędnym warunkiem przydziału wytworzonych dóbr dla każdej jednostki. to albo przy niezmienionej wysokości produkcji praca musi być podzielona między wszystkich i wtedy wypadnie jej mniej na każdego, albo trzeba zwiększyć produkcję dóbr. Tertium — to zrobić w połowie jedno, a w połowie drugie. Czwarte rozwiązanie nie istnieje. Chyba zawiązanie pętli na szyję.

OBWIESZCZENIE.

Wpis 2.

Do Rejestru Spółdzielni RS. XII.1531. Sądu Okręgowego w Warszawie, dnia 17-go lutego 1934 roku wciągnięto następujące dodatkowe zgłoszenie: „Gospodarka Narodowa“ — Spółdzielnia Wydawnicza z ograniczoną odpowiedzialnością w Warszawie“. — Siedziba Spółdzielni mieści się obecnie przy ul. Szpitalnej Nr. 4 m. 18. c) Rokiem obrachunkowym jest rok kalendarzowy. Zmianę roku obrachunkowego uchwalono na Walnem Zgromadzeniu z dnia 18 listopada 1932 roku“.

Warszawa, dnia 17 lutego 1934 r.

Sąd Okręgowy, Wydział II

Rejestr Handlowy.

UWAGI

ZAKRES I TEMPO.

Nowelizacja prawa przemysłowego jest wydarzeniem pierwszorzędnej wagi, nie ze względu na skutki doraźne, ale na dalszy rozwój strukturalny. Nie zamierzając na tem miejscu podejmować szczegółowej analizy wprowadzonych zmian, pragnę podkreślić kilka momentów o ogólniejszem znaczeniu.

Nowela stanowi dalszy i niemały krok naprzód w procesie zanikania dyspozycji jednostkowej i jej przejmowania przez Państwo bezpośrednio, albo poprzez zależne od Państwa związki przymusowe. Nieraz już podkreślano na łamach „Gospodarki" tę właściwość zarządzeń interwencyjnych, że każde z nich wywołuje bezpośrednio lub pośrednio skutki, wymagające dalszych posunięć interwencyjnych, dlatego po a należy się spodziewać b, c i t. d. Jednakże taki łańcuch zarządzeń interwencyjnych, wobec złożoności życia gospodarczego, może być dłuższy lub krótszy, może wywoływać coraz dalsze perturbacje, albo stosunkowo łatwo pogodzić się z biegiem życia. Żyjemy w okresie niewątpliwego wzrostu przejmowania dyspozycji przez jednostki zbiorowe w całem świecie i musimy się z tą rzeczywistością liczyć. Z drugiej strony, nie jest bynajmniej rzeczą obojętną, jakie będzie tempo omawianego procesu, i jak daleko nas on zaprowadzi — aż do końca alfabetu, czy nieco bliżej. Nowela przemysłowa wydaje mi się wyrazem sporego przyśpieszenia tego tempa, przebyciem kilku liter alfabetu odrazu.

Przepisy prawa przemysłowego z natury rzeczy ograniczają dyspozycję samodzielnego przedsiębiorcy. Nowelizacja, dokonywana w dzisiejszych czasach, nie mogła, oczywiście, rozluźniać tych ograniczeń, poszła z duchem czasu ku ich pomnożeniu i wzmocnieniu. Takie przepisy, jak zwiększenie listy gałęzi koncesjonowanych, jak upoważnienie Rady Ministrów do dalszego powiększania tej listy, jak ograniczenia co do kwalifikacyj samych przedsiębiorców i kierowników technicznych, co do przyjmowania uczniów itd. mogą być tak lub inaczej oceniane, ale dają się przeważnie uzasadnić poważnemi względami natury pozagospodarczej, a stanowiłyby normalne przystosowanie prawa przemysłowego do postępów wkraczania Państwa w życie gospodarcze. Możnaby je uważać za logiczne następstwo zarządzeń interwencyjnych, które już miały miejsce w innych dziedzinach.

Nieco inaczej rzecz się przedstawia, gdy chodzi o radykalnie przeredagowany dział V, dotyczący zrzeszeń przemysłowych i ich związków, oraz o dodany w dziale IX podział G., dotyczący rzemieślniczych związków gospodarczych.

W dziale V największą wagę dla całej struktury naszego życia gospodarczego mają art. 76—78, dające podstawę dla powoływania przymusowych zrzeszeń branżowych. Ich celem, zgodnie z art. 69., może być popieranie rozwoju przemysłu pod względem technicznym i gospodarczym, pozyskiwanie krajowych i zagranicznych rynków zbytu oraz obrona interesów gospodarczych zrzeszonych. Podkreślony jest niezarobkowy charakter tych zrzeszeń. Nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z modną dziś ideą ustroju korporacyjnego, z poważnem wkroczeniem w nową dziedzinę, nie zaś z koniecznemi skutkami dawniejszych posunięć. Zasadniczą dyskusję nad zagadnieniem potrzeby albo zbędności korporatywizowania Polski uważałbym za pożyteczną, wszakże rozpocząć ją powinni zwolennicy tego kierunku, inaczej bowiem krytyka mogłaby nie trafiać w jego sedno. Tu jedynie chciałbym zaznaczyć, że skoro ślady jedynej bodaj dotąd w powojennej Polsce pogłębionej wymiany zdań na ten temat znajdujemy w „Nowem Państwie" z okazji prac nad konstytucją i skoro dyskusja konstytucyjna najwidoczniej nie doprowadziła do udowodnienia potrzeby uszczęśliwienia Polski ustrojem korporacyjnym, tedy nowela wyprzedza tu dość znacznie przygotowanie opinji publicznej. Tem bardziej, że przewiduje powoływanie przez władzę państwową przymusowych zrzeszeń nawet bez zgody większości zainteresowanych. Jest wprawdzie możliwe, że kompetentny czynnik rządowy nie będzie skwapliwie korzystał z uprawnień art. 76—78. Należy się jednak liczyć z faktem, że świeżo nadane uprawnienie stanowi przecież wyraz pewnych tendencyj, stanowi poważną sugestję, nie jest zrobione „na wszelki wypadek". Ponadto, tworzenie zrzeszeń przymusowych odpowiada powszechnej dziś skłonności do organizowania, do upraszczania złożonych stosunków rzeczywistych, ułatwia pewną szablonowość w traktowaniu życia gospodarczego, szablonowość wręcz niezbędną dla większego natężenia polityki interwencyjnej, jak to zresztą widzimy w krajach, pretendujących do „planowej gospodarki". Dlatego nacisk w kierunku szerokiego tworzenia zrzeszeń przymusowych będzie wywierany nietylko od strony części zainteresowanych, którzy albo widzą w tej formie konkretną możliwość zrealizowania pewnych swych postulatów, albo poprostu są niezadowoleni z kryzysowej rzeczywistości i szukają zmiany. Nacisk będzie szedł także od strony wszystkich zwolenników gospodarki planowej, dla których przymusowe korporacje nie są celem, ale środkiem opanowania dyspozycji. Dlatego właśnie nazwałem omawianą nowelę przeskoczeniem kilku liter alfabetu w kierunku centralizowania dyspozycji.

Jeszcze bodaj ciekawsze są art. 167-a do 167-i, poświęcone rzemieślniczym związkom gospodarczym. Otrzymują one charakter przymusowy w sposób podobny, jak i zrzeszenia, o których wyżej była mowa, z tą różnicą, że Minister Przemysłu i Handlu nie „powołuje" związków rzemieślniczych, tylko zamienia wolny związek, liczący najmniej 10 rzemieślników na przymusowy dla danej branży i okręgu. Drugą różnicą jest, że Minister czyni to tylko na wniosek Związku izb rzemieślniczych. Daleko ważniejszą cechą, odróżniającą związki rzemieślnicze, jest zjednoczenie w nich, obok celów

niezarobkowych, analogicznych do zrzeszeń przemysłowych, *także celów zarobkowych*. To postanowienie otwiera pole dla usiłowań wyzyskania rzemieślniczych związków gospodarczych jako narzędzia ograniczania konkurencji. Stoimy zatem wobec próby kartelizacji rzemiosła. Tem się tłumaczy, że za wprowadzeniem przymusu stoi niewątpliwie ogromna większość rzemieślników w Polsce, rozumiejących, że dobrowolna kartelizacja nie dałaby się wprowadzić, ze względu na dużą liczebność warsztatów. Z chwilą, gdy chodzi o środek przesunięcia dochodu społecznego na ich korzyść, zainteresowani bardzo chętnie zrezygnują wzamian z indywidualnej dyspozycji. Dlatego też tworzenie, na podstawie noweli, związków gospodarczych i wyjednywanie przez nie wniosków Związku izb rzemieślniczych o rozciągnięcie przymusu organizacyjnego na konkurentów będzie bardzo łatwe, a Minister nie będzie miał mocnej podstawy taktycznej do odrzucania takich wniosków.

Od analizowania skutków wszelkiej kartelizacji przymusowej zwalnia mnie doskonała praca p. Stanisława Lauterbacha, p. t. „Przymus kartelowy na żądanie przemysłu“, ogłoszona przed kilku miesiącami. Miażdżące uwagi autora dadzą się niemal w całość zastosować także do rzemiosła, nie tracąc na celności. Zarzuty te nie zostały przez nikogo odparte i odparte być nie mogą, bo są zgodne z rzeczywistością. Nie mniej jest pewne, że w okresie, gdy likwidacja kryzysu wymaga uelastycznienia elementów sztucznie usztywnionych, gdy całe zagadnienie istnienia odcinka skartelizowanego wciąż nabiera na ostrości, rozszerzanie tego odcinka, nawet, gdyby nie było oparte na przymusie, byłoby wysoce szkodliwe dla całego życia gospodarczego. Nie przesądzam zupełnie, jakie gałęzie rzemiosła dadzą się realnie skartelizować i na jakich obszarach to na stąpi. Jeżeli skuteczność przymusu okaże się niewielka, w takim razie mielibyśmy do czynienia jedynie z niepotrzebnem rozczarowaniem i zasadniczem pogorszeniem struktury gospodarczej dla drobnego efektu. Jeżeli skuteczność w pewnych branżach okaże się duża — musi wywołać ujemne następstwa konjunkturalne, oraz pogorszyć położenie tych grup ludności, których żaden przymus, w dzisiejszych warunkach, skartelizować nie zdoła. To też wprowadzenie odnośnych postanowień noweli tłumaczę sobie przedewszystkiem tem, że nawet w oczach przeciwników dzisiejszych karteli przemysłowych, o ile są oni równocześnie, co się często zdarza, entuzjastami gospodarki planowej, *każde* zastąpienie dyspozycji jednostkowej przez zbiorową jest pożądanym krokiem naprzód. Gdy łączy się z tem przymus ustawowy, a z nim daleko posunięta możność ingerencji Państwa — krok jest tem większy, może już być nazwany skokiem.

Wobec takiego tła najważniejszych postanowień noweli, niepodobna nie powrócić do zasadniczego zagadnienia, poruszonego u początku niniejszej uwagi. Czy po odrzuceniu wszelkich doktrynalnych uprzedzeń, zarówno o charakterze liberalnym, jak i anty-liberalnym, dzisiejsza rzeczywistość pozwala utrzymywać z poczuciem odpowiedzialności, że w interesie Polski leży dążenie do przyśpieszenia tempa ewolucji ustrojowo-gospodarczej, której ulega wraz z całym światem i orzszerzania zakresu tej ewolucji? Czy powinniśmy wyprzedzać innych w sprawnem wiązaniu jednostki, czy też raczej szukać kompromisu między konieczną konsekwencją tego, co się dzieje gdzieindziej, a zachowaniem wartości, tkwiących w jednostkowym wysiłku i jednostkowej odpowiedzialności? Czy nasz brak ciągłej tradycji gospodarczej, brak wyszkolonego aparatu, brak środków finansowych i technicznych, pomijając właściwości charakteru, trudniejsze do objektywnego ustalenia, pozwalają na rychłe opanowanie rzeczywistości przez integralną dyspozycję scentralizowaną? Czy wreszcie, gdyby decyzja miała zapaść po linji szybkiego tempa centralizowania dyspozycyj, nie należałoby rozpoczynać od skonstruowania jakiejś koncepcji funkcjonowania scentralizowanego mechanizmu, przed puszczeniem go w ruch?

Do odpowiedzi na te pytania, w ramach uwagi, nie jestem zobowiązany. A może już jej udzieliłem?

Józef Poleszuk.

BŁĄD ZAŁOŻENIA.

Ten sam temat, to znaczy zagadnienie organizacji zbytu produktów rolnych, poruszyła Gospodarka Narodowa w artykule redakcyjnym w Nr. 4. W Nr. 5-tym p. Poniatowski zamieścił szereg trafnych, mojem zdaniem, uwag i spostrzeżeń. Dlaczego więc powracam do sprawy, która po kilku tygodniach animowania fachowej opinji, zeszła obecnie z łam prasy? Dlatego, iż jedno zdanie artykułu p. Poniatowskiego nie wydaje mi się słuszne. Zdanie w którem p. Poniatowski stwierdza, iż przeróżne projekty organizowania handlu produktami rolnemi przemijają, ze względu na niemożliwość ich zrealizowania, bez większego znaczenia. Niestety, obawiam się, że nierealność jakiegoś projektu niezawsze zabezpiecza przed odegraniem przezeń pewnej roli w kształtowaniu się opinji, a nawet w rozwoju wypadków. Oczywiście niema w tych razach mowy o zrealizowaniu projektu, a tylko o pośredniem jego oddziaływaniu na poglądy i na poczynania praktyczne. Otóż wydaje mi się, że jesteśmy obecnie w drugiej fazie losów projektu p. posła Rudzińskiego, dotyczącego zorganizowania zbytu produktów rolnych, w fazie „wtórnych“ skutków.

Zważywszy na tę fazę, nie będę rozpatrywał całokształtu projektu, podkreślając tylko, że ogólne moje stanowisko pokrywa się w zupełności z dotychczasowemi enuncjacjami na łamach Gospodarki w tej sprawie. Chodzi mi natomiast o uchwycenie kilku objawów, stanowiących symptomat pewnego specjalnego procesu.

Projekt p. posła Rudzińskiego właściwie nie stawał na gruncie narzucania organizacyj przymusowych. Raczej należałoby go sklasyfikować jako należący do tej samej grupy, co np. kartelizacja przędzalnictwa bawełnianego, t. zn. do grupy przymusu na żądanie zainteresowanych. Nawiasem mó-

wiąc, to właśnie stanowiło dla mnie pozytywną stronę projektu, gwarantowało bowiem... że nie będzie on nigdy wprowadzony w życie. Charakterystycznem jest niezmiernie, że w dyskusji, jaka się w związku z projektem rozwinęła, ze strony reprezentantów rolnictwa naogół moment przymusu nietylko nie został zaatakowany, ale nawet w niektórych wypadkach ujawniła się raczej skłonność do usunięcia warunku „na żądanie zainteresowanych". Przymus, jeśli się nie mylę, nie przestraszał sfer rolniczych i negatywne stanowisko w większości wypadków zawdzięczać należy innym czynnikom. Zgodnie z tem istniała tendencja raczej do bagatelizowania przymusu, do traktowania go jako sprawy drugoplanowej. Zarzuty przeciw projektowi w płaszczyźnie obrony zasady wolności gospodarczej nie znajdowały rezonansu, a raczej przeciwnie, traktowane były jako zdawkowe.

Czy słusznie? Mimo, że pojęcie wolności gospodarczej nie jest bynajmniej pozbawione treści, sam nie lubię posługiwać się tym argumentem. Nie lubię dlatego, że wolność gospodarcza w mojem rozumieniu jest tylko środkiem, a nie celem, że nie traktuję jej jako nienaruszalnego tabu. Ale odstępstwo od tej zasady powinno być dostatecznie umotywowane korzyściami. Onus probandi (obowiązek dowodzenia) obciążać musi zwolenników odchyleń od wolności gospodarczej póty, póki żyjemy w ustroju, w którym wolność gospodarcza jest zasadą. W razie zmiany ustroju, oczywiście, sytuacja się odwróci. Natomiast warto byłoby pamiętać o tem, że pewne posunięcie praktyczne, o ile realizuje na danym odcinku pewną zasadę generalną, może i musi być rozważane również i pod tym generalnym kątem. Dlatego zarzut ograniczania wolności gospodarczej przez projekty przymusowej organizacji zbytu nie wydaje mi się bynajmniej pustem słowem, a jest conajmniej uprzytomnieniem, że przy okazji tego praktycznego posunięcia dokonywalibyśmy ni mniej ni więcej, jak rewizji jednego z podstawowych, aczkolwiek już wielokrotnie naruszonych, założeń ustroju, w którym żyjemy. Można tego chcieć, ale trzeba wiedzieć i powiedzieć, że się tego chce. No, i trzeba pamiętać, że nie mija to bez konsekwencyj.

Miałem kiedyś okazję rozmawiania z wybitnym ichtjologiem, który opowiadał mi, że o ile w jeziorach „dziewiczych" istnieje pewna równowaga pomiędzy poszczególnemi gatunkami ryb, o tyle przywrócenie równowagi raz zachwianej przez połowy, nawet w razie zaprzestania połowów nie daje się uskutecznić przez jednorazowe zarybienie stosownemi gatunkami, lecz wymaga stałej interwencji, stałego zarybiania. Ile razy mowa jest o zastosowaniu interwencjonizmu w jakiejś dziedzinie, tyle razy przypominam sobie tamtą rozmowę. Interwencjonizm ma pewnego rodzaju wewnętrzną dynamikę rozwojową — rozwój interwencji na pewnym odcinku, z chwilą jej rozpoczęcia w myśl pewnych ogólnych postulatów może, a nieraz musi odbywać się niezależnie od rozwoju całokształtu polityki gospodarczej. I tak np. PZPZ-ty, jak na to słusznie zwrócono uwagę, niezależnie od ich woli, są punktem wyjścia do tworzenia monopolu zbożowego. Kiedy się powiedziało A, mówi się zazwyczaj B, C, i tak zazwyczaj do końca alfabetu. Otóż taka sama sytuacja istnieje w problemie zastosowania przymusu organizacyjnego dla zbytu produktów rolnych. Narazie ingerencja Państwa miałaby się ograniczyć tylko do zmuszenia producentów do przynależności. Z czasem musi ona przybrać szerszy zakres, trudno powiedzieć jaki, ale może to być próba wkroczenia w politykę cen tej organizacji, czy też wyjścia poza regulowanie zbytu, a przejścia do prób regulowania produkcji. Tak być musi, bo z chwilą, kiedy Państwo przymusem sankcjonuje istnienie danej organizacji, to jednocześnie przyjmuje odpowiedzialność za jej działanie, co koniec końców musi doprowadzić do zapewnienia olbrzymiego wpływu na kierownictwo. Wpływu tem większego, im słabsi gospodarczo, organizacyjnie i pod każdym innym względem są zrzeszeni. Pomijając zastrzeżenia natury ogólnej, pragnąłbym zwrócić uwagę na jeden moment, absolutnie pomijany przez zwolenników przymusu, rekrutujących się ze sfer rolniczych. W ich rozumieniu organizacja zbytu miałaby służyć przedewszystkiem dla skonsumowania na rzecz rolnictwa części rozpiętości pomiędzy cenami, otrzymywanemi przez producentów, a cenami płaconemi przez konsumentów. A w każdym razie miałaby być narzędziem polityki podwyżki cen. Przypuszczać należy, że rozwój wypadków nie oszczędziłby nam tej, niepozbawionej komizmu sytuacji, kiedy naskutek pewnego układu sytuacji gospodarczej przymusowa organizacja zbytu zostałaby użyta przez Państwo jako narzędzie do... hamowania zwyżki cen.

Jak powiedziałem wyżej, onus probandi należy, mojem zdaniem, do drugiej strony. Ale na jedną rzecz pragnę jednak zwrócić uwagę. Otóż zbyt łatwo zapomina się o tem, że pomiędzy organizacjami przymusowemi a dobrowolnemi istnieje ta prosta różnica, że do tych ostatnich zrzeszeni nie potrzebują należeć, o ile z funkcjonowania organizacji nie są zadowoleni. Ta, jak powiadam, „prosta różnica" stanowi najskuteczniejszy bodziec, usprawniający działalność organizacyj dobrowolnych i zmuszający te organizacje do działania po myśli interesów największej ilości zrzeszonych. W organizacji przymusowej (o ile nie zachodzi taki wypadek, jak w niektórych gałęziach przemysłu, że przymus może być zawieszony naskutek stanowiska pewnego odłamu wytwórców, istnieją wszelkie warunki ku temu, ażeby kierunek działalności organizacji usamodzielnił się niejako od linji interesów zrzeszonych. Nawet organizacje dobrowolne są niejednokrotnie dotkliwym ciężarem i, że użyjemy tu wyrażenia demagogicznego, umieją żerować na interesach zrzeszonych nie gorzej, niż „zbędni pośrednicy". Organizacje przymusowe miałyby wszelkie warunki do pobicia rekordów na tem polu.

Reasumując, sądzę, że dotychczasowa dyskusja nad projektem p. posła Rudzińskiego niedosta-

tecznie uplastycznila *ryzyko i konkretne szkody*, związane ze stosowaniem przymusu organizacyjnego w dziedzinie zbytu płodów rolnych. Projekt nie doczekał się realizacji, i w mojem rozumieniu doczekać się jej nie może. ale już dziś wywarł pewien ujemny wpływ na kształtowanie się poglądów na przymus. Oby to chwilowe zaciemnienie poglądów nie stało się przyzwyczajeniem.

Zanalizowałem szczegółowiej jeden z momentów. Co do pozostałych, z konieczności ograniczę się do krótkich uwag. I tak np. można zaobserwować, że projekt p. posła Rudzińskiego stał się punktem startu dla koncepcyj, które nawet negatywnie oceniając projekt... starają się iść jeszcze dalej.

Jako przykład wymienić można artykuł p. Grabowskiego w styczniowem „Rolnictwie". Po szeregu słusznych zastrzeżeń co do możliwości wprowadzenia w życie projektu p. posła Rudzińskiego, zastrzeżeń, podkreślających odrębność i specyficzność naszych warunków, p. Grabowski dochodzi do wniosku, tembardziej niespodziewangeo, że nie umotywowanego (w przeciwieństwie do szeroko umotywowanej części krytycznej), iż „powołanie do życia planowej organizacji zbytu jest celowe". Natomiast zrealizowanie tej koncepcji p. Grabowski warunkuje szeregiem prac przygotowawczych w kierunku rejonizacji, standaryzacji, organizacji podmiotów i urządzeń obrotów. Niewątpliwie świadczy to o poważnem podejściu do zagadnienia. Ale, czy przypadkiem z chwilą dokonania tych prac nie znikłaby potrzeba dla stwarzania „planowej organizacji zbytu"? Czy z chwilą tak kapitalnych zmian w warunkach obrotu płodami rolnemi, jak standaryzacja i rozbudowa urządzeń handlowych, nie znikłyby w znacznej części te bolączki, które chce się usuwać w drodze organizacji zbytu. (Rzecz inna, że ich właśnie w tej drodze usunąć nie można). Czy w tych warunkach koncepcja planowej gospodarki nie staje się już trochę sztuką dla sztuki, wyrazem zamiłowania do zorganizowanych form działalności gospodarczej? W szczegółową polemikę nie wchodzę, gdyż artykuł p. Grabowskiego traktuję jako przykład pewnych fermentów myślowych, nieraz niezależnych od projektu p. posła Rudzińskiego, ale najczęściej wyzwolonych przez jego opublikowanie. Inne przykłady znajdujemy w rodzących się, jak grzyby po deszczu, projektach i projekcikach organizowania zbytu pewnych przynajmniej artykułów rolnych. Zjawisko to tłomaczy się bardzo poprostu. Jeżeli naogół odniesiono się z dużemi wątpliwościami do projektu p. posła Rudzińskiego, to przedewszystkiem dlatego, że zrealizowanie jego byłoby jawnie niemożliwe, ze względu na charakter produkcji rolniczej. Znacznie mniej kwestjonowana była celowość pomysłu. Przeciwnie, sądzę, że gdyby uznano go za wykonalny, to zyskałby on sobie spory sukces. Mniejsza z tem, dlaczego tak jest. Czy należy w tem widzieć objaw popularności „wzorów kartelowych" (zresztą bez zrozumienia istoty tych wzorów), czy też objaw „przerostu" wiary w przerost pośrednictwa. Natomiast dlatego właśnie, że akcent dotyczył *niemożliwości* zrealizowania projektu, częściej niż jego celowości, na szerokim froncie odbywa się dziś skwapliwe poszukiwanie *możliwości* częściowego. odcinkowego, zrealizowania podobnych pomysłów.

Jak wspomniałem wyżej, te wszystkie rzeczy wydają mi się przejawami tego samego procesu. Procesu poszukiwania szczęśliwszej formuły dla mętnej zresztą i nieokreślonej tendencji „organizowania" (przez wielkie O). Otóż u podstawy tych prób leży podstawowy błąd, który skazuje je zgóry na niepowodzenie. Niema celu szukać lepszej formuły dla założenia, które jest fałszywe. A tak właśnie jest w danym wypadku. Zamiast tego wydawałoby mi się dużo pożyteczniejszem spopularyzowanie w sferach rolniczych np. wiadomości o outsider'stwie. Mogłoby się to odbyć np. w drodze rozważenia konsekwencyj, jakie pociągnęłoby za sobą zrealizowanie planów organizacji zbożowej, obejmującej (po myśli projektów p. Rudzińskiego) wielką własność rolną. W tym wypadku mielibyśmy coprawda sytuację o tyle specjalną, że poza quasi - kartelem stałoby... 60% produkcji zbożowej. Może więc lepiej byłoby wybrać produkcję ryb, gdzie zrzeszenie miało objąć stawy o powierzchni powyżej 10 ha i obliczyć, ilu producentów zmniejszyłoby powierzchnię stawów do 9,9 ha?

Czesław Bobrowski.

BEZROBOTNA MŁODZIEŻ.

Problem bezrobocia młodzieży posiada wielką doniosłość społeczną, polityczną i gospodarczą. Bezrobocie młodego pokolenia stwarza niebezpieczeństwo silnego fermentu w sferze, której napięcie ideowe jest bezporównania silniejsze, od niezadowolenia starszego pokolenia; młody człowiek, wolny najczęściej od obowiązków rodzinnych, nie ma nic do stracenia, a naturalna przewaga czynników emocjonalnych nad racjonalistycznemi pcha go ku najbardziej radykalnym, a raczej prymitywnym rozwiązaniom przerastających jego rozumowanie zagadnień. Jako ruchliwa tania armja rezerwowa, młodzież przedstawia również groźne niebezpieczeństwo dla zatrudnionych i bezrobotnych „ojców rodziny", działając deprymująco na rynek pracy. Ekonomicznie — armja ta składa się z ludzi o minimalnej czy żadnej sile nabywczej, marnuje swój najlepszy atut, młodość, w bezczynności i lenistwie a jeżeli kiedykolwiek dostanie się do warsztatów — będzie o wiele oporniej przyswajała sobie arkana wiedzy technicznej i trudniej da się wtłoczyć w organizację pracy przemysłowej czy rzemieślniczej.

Jak doniosłym jest problem, o którym mówimy, świadczą liczby. W Niemczech w 1932 r. bezrobotnej młodzieży poniżej 21 lat liczono około miljona głów, z czego 1/4 nigdy nie była zatrudniona. W Anglji w połowie 1932 r. było ok. 130.000 młodzieży bezrobotnej w wieku do lat 18. W Szwecji bezrobotni dorośli stanowili 40% ogółu związkowców, natomiast bezrobotna młodzież — 50%

Pomoc dla młodzieży, pozbawionej pracy, zo-

stała skierowana w dwuch kierunkach: zasiłków i zatrudnienia. O ile pierwsza droga niczem się nie różni od sposobów pomocy dla bezrobotnych dorosłych, o tyle druga posiada swoje własne oblicze — i o tem chcemy mówić poniżej. Niemcy, którym — jak wiemy — bezrobocie młodzieży mocno dało się we znaki, poszły przedewszystkiem na eksperyment t. zw. obozów pracy, a zatem wkroczyły i tutaj w dziedzinę, zwaną „produktywnem zatrudnieniem bezrobotnych" lub „produktywną walką z bezrobociem". Za cel tych obozów postawiono sobie w Niemczech dokonywanie robót o charakterze użyteczności publicznej, w których w żadnym razie nie korzystanoby z pracy normalnych rąk roboczych. Tą drogą chciano uniknąć ujemnego wpływu na krajowy rynek pracy, w szczególności na poziom płac roboczych. Słuszne, naszem zdaniem, odseparowanie młodzieży od przedsiębiorstw prywatnych, obliczonych na zysk, zostało wyraźnie podkreślone w art. 139 a) dekretu rządu Brüninga z 5.VI. 1931 r., polecającym skierowanie tych obozów do robót meljoracyjnych, „uzbrojenia" terenów budowlanych, budowy środków komunikacji lokalnej oraz prac, mających na widoku hygjenę społeczną (głównie boiska sportowe, tereny pod ogródki rodzinne etc.). Rozporządzenia z 1932 r. mówią wyraźnie, że dobrowolne obozy młodzieży powinny służyć wykonywaniu zbiorowym wysiłkiem pracy poważnej i użytecznej dla dobra zbiorowego, a jednocześnie korzystnej dla fizycznego, intelektualnego i moralnego rozwoju młodzieży. W chwili obecnej liczba uczestników obozów pracy dzięki przekształceniu ich przez rząd hitlerowski z ochotniczych na przymusowe przekracza 400.000 i stale rośnie w granicach przyznanych na tę akcję kredytów publicznych (obliczane są one na 534 mil. RM. dla 550.000 ludzi przy stawce 2,70 RM za roboniko - dniówkę).

Drugim krajem, który z instytucji obozów pracy uczynił świadomie i na wielką skalę narzędzie walki z bezrobociem na odcinku młodzieży, jest Bułgarja, aczkolwiek i tutaj moment militarny (z uwagi na zakaz utrzymywania armji) odegrał poważną rolę. Faktem jest jednak bezspornym, że w dziedzinie robót o charakterze użyteczności publicznej bułgarska armja pracy położyła b. znaczne zasługi, czego dowodem, że w 1931 przepracowała ona zgórą 4 milj. robotniko - godzin, z czego 1/3 przypada na budowę kolei i szos, reszta zaś na roboty meljoracyjne i leśne oraz niektóre czynności rzemieślnicze.

Inne państwa, które zastosowały u siebie analogiczne czy podobne metody w walce z bezrobociem młodzieży, ograniczają się z reguły do powierzania obozom pracy zadań o charakterze robót publicznych. W m. Gdańsku położono nacisk na roboty meljoracyjne, przygotowanie terenów pod osady i ogródki rodzinne, naprawę dróg itp. Fińskie obozy młodzieży przeznaczone są do robót polnych i samorządowych robót publicznych. Kanadyjskie obozy pracy zajmują się karczowaniem lasów, osuszaniem błot, naprawianiem dróg etc. Młodzież norweska pracuje zespołowo nad przekształceniem nieużytków na grunty uprawne. Trochę inaczej traktuje to zagadnienie belgijska Ligue du coin de terre et du foyer, ma ona bowiem na celu dostarczenie młodzieży bezrobotnej ogródków działkowych i popieranie hodowli królików, drobiu itd.

Czynniki kierownicze w wymienionych i innych państwach zdają sobie jednak sprawę, że najlepiej pomyślane roboty publiczne nie są wystarczającym środkiem. Istnieje jeszcze problem: co zrobić z młodzieżą, która przeszła przez te obozy i która, będąc już nieco starsza wiekiem, musi mieć jakiś określony fach w ręku, bo przecież roboty publiczne fachu takiego dać nie mogą. Problem ten przerasta zresztą zakres, ustalony przez obozy pracy i bezrobotnych, i dotyczy fachowego przygotowania młodzieży wogólności.

Młodzież, kończąca szkoły czy wychodząca z obozów pracy, staje przed wielką niewiadomą: dokąd iść? jakiemu zawodowi się poświęcić? — Powstaje tem samem konieczność stworzenia organizacji zawodowego poradnictwa, jednoczącej w sobie czynności szkolnictwa zawodowego z czynnościami społecznego pośrednictwa pracy. Znając kwalifikacje, zdolności, zamiłowania etc. młodzieży, znając zapotrzebowanie gospodarstwa społecznego na te lub inne „stanowiska" (nie w sensie indywidualnym, lecz zbiorowym), wiedząc, w jakich dziedzinach, branżach lub zajęciach popyt na pracę przekracza potencjalnie i kinetycznie jej podaż — wspomniane organizacje mogą — po uprzedniem fachowem przygotowaniu młodzieży — kierować „właściwych ludzi na właściwe miejsce", wyprowadzając z impasu niedouczone, wykolejone młode pokolenie.

Nad tem zagadnieniem pracują Niemcy i inne kraje, przyczem najmocniej postawiono je w Anglji. Zadaniem komisyj doradczych przy biurach pośrednictwa pracy jest dostarczanie materjału informacyjnego pracodawcom i pracobiorcom (młodzieży), wyszukiwanie dla młodych odpowiednich posad i kontrola ich działalności przez pewien okres czasu. Akcję tych komisyj uzupełniają obozy, które na pierwszym stopniu poświęcają się zajęciom niefachowym o charakterze raczej, zdrowotnym, w drugim zaś, znacznie wyższym, — specjalizacji sił fachowych, które następnie znajdują zatrudnienie „dzięki planowej pomocy rządu i społeczeństwa"*). Sądząc po stanowisku trade-union ów, ostrzegających przed popieraniem „instytucyj kształcenia i poradnictwa zawodowego, dostarczających robotnika półkwalifikowanego, albo też przygotowujących siły robocze dla przemysłów, już obecnie ciężko dotkniętych bezrobociem"*), anglicy doceniają grożące tym obozom niebezpieczeństwo; zdaje się, uniknęli go dzięki temu, że o ile obozy I-go stopnia liczyły w r. ub. 150.000 uczestników, o tyle na II-m stopniu było zaledwie 4.000 młodych ludzi. Podobne załatwienie omawia-

---

*) Dr. M. Bornstein - Łychowska „Służba pracy w Niemczech i poza niemi' („Praca i Opieka Społeczna" I 1934 r.).

*) Cytata w.g. tegoż samego źródła.

nego problemu obserwujemy w Czechosłowacji, gdzie ogniska młodzieży bezrobotnej, współdziałając ze szkolnictwem zawodowem, zajmują się przeszkoleniem fachowem młodzieży (np. warsztaty przemysłu drzewnego w okolicach Pragi).

W Polsce, którą celowo zbywamy paroma słowy (zagadnienie to na naszym gruncie wymaga specjalnego artykułu czy też serji artykułów), dotychczasowa walka z bezrobociem młodzieży akcentowała — poza akcją zasiłkową — niemal wyłącznie moment zatrudnienia w obozach pracy, ilościowo, b. skromnych i koncentrujących swe wysiłki dokoła robót publicznych (Fundusz Pracy). Drugie oblicze problemu: społeczne poradnictwo i przygotowanie zawodowe — nie zostało do tej pory ujawnione; sprawa ta znajduje się jeszcze — o ile nam wiadomo — „w lesie". A dopiero uwzględnienie i tych ważnych punktów przyczyni się do pełnego ujęcia problemu walki z bezrobociem młodzieży, która to walka, bądźmy szczerzy, nie wyjdzie jednak poza paljatywy.

z. i.

NOTATKI

KŁUSOWNICY.

Moja uwaga, zatytułowana „Jelenie" („G. N." Nr. 2) spotkała się z odpowiedzią p. t. „Jeszcze o jeleniach", którą Gospodarka, wierna zasadzie „audiatur et altera pars" [1]) zamieściła w swym Nr. 4. Autor odpowiedzi, podpisany „f. r.", czując się dotknięty mojemi zarzutami, skierowanemi pod adresem grupy „Schicht - Unilever", uznał je za apodyktyczne, nieudowodnione i oparte na „świadomie fałszywych a złośliwych informacjach przypadkiem spotkanego kłusownika".

Napisałem o ujemnej roli niemiecko - angielskiego kapitału w polskim przemyśle tłuszczowym. Pan „f. r." wyjaśnia, że kapitał ten jest angielsko-holenderski. Mylimy się obaj: grupa „Unionu" jest de facto angielsko - holendersko - niemiecką. Ten światowy koncern zachował pewien sentyment dla odrębności narodowych swych wspólników, czego dowodem centrala dla Polski i krajów wschodnich, mieszcząca się w Berlinie, co musiało odbić się choćby na takim drobiazgu, jak reklamy firmy „Schicht", rozsyłane z Warszawy w języku niemieckim.

Napisałem o kartelu tłuszczowym, który... nie istnieje. Mea culpa: oczywisty błąd („kula w płot" — jak się wyraził p. „f. r."). Ale i powiedzenie, że „syndykat rafinerji olejów nie wytrzymał próby życia", niezbyt odpowiada rzeczywistości. Czy czasami nie było w ten sposób, że syndykat ów, będący de facto w rękach grupy Schichta, istniał jedynie dzięki monopolowi przywozu olejów surowych do celów rafineryjnych, a upadł dzięki zaniechaniu przez Rząd forytowania importu olejów?

„Większe lub mniejsze przedsiębiorstwa" przemysłu tłuszczowego w Polsce — pisze p. „f. r." — „pracują na zasadach wolnej konkurencji". Pisząc tak, i ma rację i jednocześnie jej nie ma. Zgodnem jest bowiem z prawdą, że Schicht nie wykupił jeszcze krajowych przetwórni tłuszczowych, ale również odpowiada prawdzie, że Schicht (przepraszam: Union) zmonopolizował w swych rękach dostawę pewnej drobnostki — surowców olejarsko-tłuszczowych. Krajowe fabryki poza Schichtem (który jest również przedsiębiorstwem „krajowem") są tak bardzo samodzielne w zakresie produkcji i cen, że nie mogą nabywać niezbędnego surowca gdzie chcą i za ile chcą, lecz wyłącznie w olejarni gdyńskiej, która — wbrew zapewnieniom firmy Schicht — pracuje pod dyktandem wspomnianego trój-językowego koncernu.

I tutaj dotykamy sprawy najbardziej istotnej: olejarnia gdyńska, której Rząd udzielił monopolu na import nasion do przerobu na oleje (monopol ten wyraża się w braku pozwoleń na import olejów, wysokiej taryfie na przewóz nasion z Gdyni do olejarni, położonych wewnątrz kraju etc.), stała się dyktatorem krajowych odbiorców. Jeżeli olej surowy cif Gdynia kosztuje 38 — 39 zł. za 100 kg., a po opłaceniu cła, opłat manipulacyjnych itp. kosztowałby franco Gdynia 57 — 58 zł., to cena 62 — 65 zł., pobierana przez olejarnię gdyńską, musi „krępować samodzielność" przemysłu krajowego, który niema innej drogi zakupu surowca, jak u monopolisty. Związany zaś z tymże monopolistą Schicht (fabryka mydła) otrzymuje surowiec taniej, bo cóżby to był za koncern pionowy, któryby tak nie postępował.

Możnaby ostatecznie przejść do porządku nad kwestją ceny, płaconej za olej, wytłoczony w Gdyni, możnaby nawet machnąć ręką na drożyznę mydła, którego konsumcja w Polsce jest, grzecznie mówiąc, skromna — gdyby nie pewne zastrzeżenia natury ogólnej. Dobrze: Union z przybudówkami i ekspozyturami siedzi sobie w Polsce, inwestował w niej w ciągu 10 lat z górą 22 czy 30 miljonów zł., przyczynia się do rozbudowy naszego „okna na morze", uczy (w swoisty sposób) nasz przemysł właściwej kalkulacji, bierze go do galopu, usprawnia etc. Ale — dlaczego posiada monopol, udzielony mu przez Państwo? Dlaczego jest przedsiębiorstwem użyteczności publicznej? Dlaczego przypisuje się mu rolę bezinteresownego ideowca, pioniera, misjonarza? — Ładne mi „ideowe nastawienie", ładne mi „eliminowanie zbędnego importu i oparcie wytwórczości wszędzie tam, gdzie to jest możliwe, wyłącznie tylko na polskim surowcu, przetwarza-

---

[1]) Pogląd „Społem" (Nr. 5 artykuł p. t. „Mydło"), że wzmiankowana odpowiedź ma „wszelkie cechy płatnego sprostowania strony zainteresowanej", polega na jawnem nieporozumieniu, które redakcja „Społem" z całą gotowością obiecała sprostować.

nym w Polsce rękami polskiego robotnika" (słowa notatki „Jeszcze o jeleniach"), kiedy *Państwo udziela specjalnych preferencyj a spożywca dopłaca* do kosztów prowadzenia „ideowej" gospodarki. Zresztą z tem „eliminowaniem zbędnego importu" lub „odciążeniem bilansu handlowego", które to rzeczy p. „f. r." poczytuje za „zasługę" Schichta-Unilever, nie jest tak idyllicznie: import trwa nadal i trwać będzie, a że zamiast olejów przywozi się nasiona oleiste, z których olej kosztuje drożej od zagranicznego, bilans handlowy napewno nie jest „wygrany".

Co więcej — bilans płatniczy musi odczuwać na sobie doniosłe skutki monopolu firmy Schicht-Unilever: zysk tej firmy na oleju, tłoczonym w Gdyni, wynosi, według opinji znawców, 20 zł. od 1 q (jednocześnie Skarb Państwa zrezygnował z 15 zł. cła od 1 q olejów surowych, zbędnych wobec forytowania bezcłowego przywozu nasion oleistych), co przy sprawności rocznej 1600 wagonów à 15 tonn daje olejarni 4.800.000 zł. Ponieważ jednocześnie bilanse grupy Schicht-Unilever są b. skromne, gdy chodzi o zyski (S. A. „Union" czyli olejarnia gdyńska wykazała za r. 1932 zaledwie 43.000 zysku przy kapitale akcyjnym 7.000.000 zł., a schichtowska wytwórnia mydeł od wielu lat wykazuje niedobory), powstaje pytanie, dlaczego przedsiębiorstwa, posiadające aż nadto warunków do osiągania renty, tej renty jednak nie wykazują. Byłoby b. ciekawe wyjaśnić problem oprocentowania zagranicznych kredytów firmy.

Mój szanowny oponent, broniąc Schichta, operuje argumentem patrjotycznym, niemal świętym: Gdynią. Ponieważ nie należę do „domorosłych defetystów", a w obronie interesów miasta i portu Gdyni „Gospodarka Narodowa" stawała nieraz i nie dwa razy, więc nie będzie mi poczytywane za bluźnierstwo, jeśli oświadczę, że „świętość" Gdyni jest *nadużywana*. I to w interesie jednostkowym pod pozorami dobra zbiorowego. Bo jeżeli olejarnia gdyńska ma monopol na ceny oleju, ma zabezpieczone tyły i boki przed konkurencją, gdyż taryfy kolejowe na przewóz nasion uniemożliwiają czy utrudniają sprowadzanie tychże nasion pod innym, niż olejarnia, adresem (tracą na tem P. K. P. i przetwórnie wewnątrz kraju), jeżeli przemysł surowcowy (olejarnia gdyńska) popierany jest na rachunek przemysłu przetwórczego (krajowe wytwórnie mydła), a wszystko razem umożliwia rabunkową gospodarkę wzamian za paromiljonowe inwestycje w ukochanej Gdyni — to doprawdy nie warto popierać Gdyni *w ten sposób*. Jeśliby powiedzieć, że „cel uświęca środki", to w żadnym razie Gdynia nie będzie tutaj celem, a właściwie środkiem; cel — ten prawdziwy — znajduje się daleko poza Gdynią, w ośrodku dyspozycji firmy Schicht - Unilever.

Kłusownicy, którzy wkładają mundur straży leśnej i na piersiach przypinają krzyże zasługi (za rozbudowę Gdyni), są bardziej niebezpieczni i szkodliwi, od zwykłych raubszyców, którym brak fantazji i tupetu, nie pozwala na pożyteczną w ich rzemiośle maskaradę. *k. b.*

P. K. O. W ROKU 1933.

Niedawno wydane „Sprawozdanie z działalności P. K. O. w roku 1933" dostarcza interesującego materjału dla zorjentowania się w rozwoju operacyj oraz stanie majątkowym tej instytucji.

Rok 1933 był dla P. K. O. okresem dalszego pomyślnego rozwoju, zwiększyły się obroty we wszystkich działach pracy, wzrosły też kapitały powierzone P. K. O. przez społeczeństwo. Przyrost ogólnej sumy wkładów tak oszczędnościowych jak i czekowych wynosi w 1933 roku 33 milj. zł., stan zaś na ultimo 1933 roku kwotę 713.5 milj. zł. Ilość klientów w obrocie oszczędnościowym i czekowym łącznie wzrosła w 1933 roku o 209,882 i osiągnęła liczbę 1.226.993 osób. Rozwój ogólnej sumy wkładów w P. K. O. w porównaniu z innemi instytucjami przedstawia następujące zestawienie (w milj. zł.)[1]:

	31.XII 1931	31 XII 1932	31.XII 1933
Pocztowa Kasa Oszczędn.	509,8	622,9	713,5
Komunalne Kasy Oszczędn.	603,3	627,9	609,4
Banki Akcyjne	611,7	527,5	463,5[2])
Spółdzielnie Kredytowe	346,4	306.5	291,3[2])
Bank Gosp. Krajowego	238,7	261,1	235,7
Różne	185,6	180.9	195,6[2])

Z zestawienia tego widzimy jasno wzrastającą z roku na rok rolę P. K. O. na naszym rynku kapitałowym. Przyrost wkładów P. K. O. jest objawem tem bardziej z ogólnego punktu widzenia dodatnim, że wiąże się on organicznie z hamowaniem tezauryzacji pieniądza i zapobieganiem jej deflacyjnym skutkom. Szczególnie doniosłe zadania w tym kierunku przypadły P. K. O. w okresie spadku dolara, kiedy po wycofaniu wkładów dolarowych z innych instytucyj dawały się zauważyć symptomaty silnego wzmagania się tezauryzacji.

Obrót oszczędnościowy P. K. O. wykazuje w roku 1933 znaczny przyrost sum złożonych oraz książeczek oszczędnościowych. Stan wkładów na ultimo 1933 r. w porównaniu do lat ubiegłych przedstawia się następująco:

	wkłady oszcządn. w milj. zł.	liczba książeczek oszczędnościow.
31.XII 1928 r.	122,3	298.343
„ 1929 r.	173.0	434.305
„ 1930 r.	257.3	605.547
„ 1931 r.	332.2	761.350
„ 1932 r.	444,8	933.434
„ 1933 r.	506,5	1.154.656

Rok 1933 przyniósł więc 64,4 milj. zł. nowych wkładów, przy równoczesnym wzroście liczby oszczędzających w P. K. O. o 204.658 osób, co stanowi wynik bardzo dobry, gdy się zważy, że równocześnie zmalała suma wkładów w innych instytucjach kredytowych.

Obrót czekowy P. K. O. wykazuje także silny wzrost operacji, oraz wkładów na kontach czekowych. Ogólny obrót czekowy P. K. O. osiągnął w 1933 roku 25,3 miljardy zł. Obrót bezgotówkowy

———

[1]) Dane wedł. „Wiadomości Statystycznych" Nr. 3 1934.

[2]) Stan na 30. IX. 1933.

stanowi z roku na rok większą część ogólnego obrotu czekowego. Tę ewolucję przedstawia poniższe zestawienie:

	Ogólny obrót czek. w milj. zł.	W tem obrót bezgotówkowy w milj. zł.	%
1930 r.	23.862	14.939	62,6
1931 r.	22.623	14.642	65,6
1932 r.	21.791	14.731	67,6
1933 r.	25.258	18.455	73,0

Wzrost obrotu czekowego, a zwłaszcza obrotu bezgotówkowego jest objawem bardzo dodatnim; wyrównywanie rachunków zapomocą czeków uwielokrotnia obieg pieniężny, podnosi szybkość obiegu pieniądza, łagodząc ujemne skutki deflacji.

Równolegle ze wzrostem operacyj w obrocie czekowym wzrasta suma wkładów na rachunkach czekowych, na ultimo 1933 r. wkłady te osiągnęły 207 milj. zł., co stanowi przyrost o 29 milj. zł. w stosunku do roku 1932.

Pomyślnie rozwija się również Dział Ubezpieczeń na życie P. K. O., przyrost polis w ciągu roku 1933 wynosi tu 19.217 nowych polis netto na kwotę ubezpieczenia przeszło 20 milj. zł. Ogółem Dział Ubezpieczeń pozyskał w ciągu swej niespełna 5½-letniej działalności 75.409 polis na łączną kwotę 126,4 milj. zł. Ubezpieczenia dotychczas prowadzone przez P. K. O., to wyłącznie popularne ubezpieczenia bez badania lekarskiego do 10.000 zł., obecnie przystępuje P. K. O. do rozszerzenia swej działalności na ubezpieczenia wyższe z badaniem lekarskiem.

Kapitały zebrane lokuje P. K. O. w papierach wartościowych emitowanych przez nasze najpoważniejsze instytucje kredytu długoterminowego, umożliwiając przez to tym instytucjom finansowanie życia gospodarczego. Portfel papierów wartościowych własnych i funduszu zapasowego wynosił na ultimo 1933 roku 480,3 milj. zł. Przyrost więc roczny wynosi 56,4 milj. zł. W ogólnej sumie papierów wartościowych, znajdujących się w portfelu P. K. O. 66,7% stanowią papiery emitowane przez banki państwowe, w absolutnych cyfrach udział ten wyraża się kwotą przeszło 314 milj. zł. listy zastawne i obligacje towarzystw kredytowych ziemskich i miejskich stanowią 15,3% całego portfelu z kwotą 72,7 milj. zł., papiery państwowe figurują w portfelu z kwotą 74,3 milj. zł., co stanowi 15,8% ogólnej sumy.

Poza temi lokatami o charakterze długoterminowym, umieszcza P. K. O. część kapitału w operacjach krótkoterminowych, jak skup weksli i akceptów, oraz pożyczki na zastaw papierów wartościowych. Kredyty te wynoszą na ultimo 1933 roku 21,8 milj. zł.

Pogotowie kasowe było stale bardzo wysokie i wynosiło przeciętnie w ciągu 1933 roku 33% natychmiast płatnych zobowiązań, motywem skłaniającym kierownictwo Instytucji do utrzymywania tak wysokiego pogotowia kasowego, była jak czytamy w „Sprawozdaniu", ostrożność wobec istnienia niepokojących objawów na zagranicznych rynkach finansowych; ex post możemy stwierdzić, że jeśli przebieg wypadków w Polsce nie wykazuje, aby objawy te, wynikające ze spadku dolara, znalazły swe echo na naszym rynku kredytowym, to jest to rezultatem w równym stopniu naszej polityki walutowej, jak ostrożności naszego aparatu kredytowego.

Sprawozdanie z działalności instytucji kredytowej o tak szerokim zasięgu jak P. K. O. odzwierciedla zmiany w sytuacji na rynku kredytowym; pozwala nam ono ocenić stopień płynności rynku i przyrost nowej dyspozycji kapitałowej. Obok tego możemy zeń odczytać, czy istnieją u oszczędzającej publiczności psychiczne momenty, skłaniające ją do lokat trwałych. Jedno i drugie jest oczywiście warunkiem ożywienia gospodarczego i dlatego sprawozdanie, acz wydane przedewszystkiem dla celów „prywatno-gospodarczych" instytucji stanowi jednocześnie przyczynek do oświetlenia szerszych zagadnień.

Włodzimierz Hagemejer.

WIELBŁĄD W „PRZEGLĄDZIE GOSPODARCZYM".

Przeczytawszy notatkę p. t. „Niebezpieczeństwo fetyszów" w ostatnim (5) numerze „Przeglądu Gospodarczego" poczułem się ...w dość niewyraźnem położeniu. Makuszyński napisałby zapewne w takiej sytuacji, że „oszalał ze zgryzoty i ze zdziwienia". Ta zgryzota moja wynika nie stąd, że w cytowanej notatce, podpisanej literą W., znajduję polemikę, z umieszczonym przeze mnie w „Gospodarce Narodowej" (Nr. 4 z b. r.) artykułem p. t. „Równanie na 60". Istotą natomiast tego zmartwienia jest, że z tej polemiki nic nie rozumiem...

Bo proszę zważyć: w artykule na 3 szpalt druku,napisanym w języku polskim i wydrukowanym bez większych błędów zecerskich, omawiając wysunięte przez „Gazetę Polską" hasło „poziomu 60". kilkakrotnie jasno precyzuję pogląd, że: po pierwsze „równanie na 60" nie da się przeprowadzić w zakresie wszystkich elementów życia gospodarczego. Po drugie, piszę wyraźnie, że popularność cytowanych przeze mnie artykułów „Gazety Polskiej", wydaje się aż... niebezpieczną. Niebezpieczeństwo polega jak zwykle w takich wypadkach na zbyt prostolinijnej interpretacji, która odrzucając cały tok rozumowania i zawartą w niem analizę faktów, oświetla jaskrawo tylko pewne fragmenty logicznej budowy, w poszukiwaniu „Schlagwort'u". Takim „Schlagwort'em" stało się już dzisiaj hasło: „Poziom 60".

A dalej piszę za „Gazetą Polską": „poziom 60 — jest poziomem hypotetycznym. Może to być poziom 60, może 58, może 55 — a może wcale szybko określonego poziomu nie będzie".

Wreszcie kończę artykuł słowami: „Wytyczenie tego poziomu jest *jednak jedynie drogowskazem nie może być traktowane jako program polityki gospodarczej*".

Przypuszczam, że przytoczone cytaty z mego artykułu wystarczą do uprzytomnienia bezstronnemu czytelnikowi mego zdziwienia, gdy w wymienionej notatce „Przeglądu Gospodarczego" znalazłem wyrażony pogląd, że niebezpiecznem jest, gdy „twierdzenie odnoszące się do danej aktualnej

sytuacji, do danego układu warunków, przekształca się na ogólną zasadę, na stały kanon polityki gospodarczej". Otóż jakoby w swoim artykule usiłowałem z hasła „równanie na 60" zrobić taki kanon polityki gospodarczej.

Zgadzam się najzupełniej z przytoczonym powyżej zdaniem p. W. — i właśnie ten pogląd wyrażałem w swoim artykule.

Zgadzam się również z twierdzeniem, że „możliwy jest bardzo niski poziom cen (w złocie) przy bardzo małej zawartości złota w jednostce monetarnej jak również odwrotnie—bardzo niski poziom cen (w złocie) przy bardzo dużej zawartości złota w jednostce monetarnej". Twierdzenie to nie jest rewelacją dla nikogo. Byłoby natomiast dla mnie rewelacją, gdyby mi kto wykazał, że usiłowałem kiedykolwiek dowieść słuszności odwrotnej tezy.

Bo z przytoczonego przez p. W., a wyjętego z mego artykułu zdania, że: „Określenie górnej granicy dolara czyni niemożliwym powrót do stanu przedkryzysowego" i że „ci wszyscy, którzy wierzyli, że *po upływie paru lat* fala konjunktury wyniesie z powrotem poziom cen do wysokości z przed 1929 r. i, że wyjście z kryzysu równoznaczne jest z nawrotem przedkryzysowych warunków gospodarowania, doznają obecnie rozczarowania", wynika poprostu wyrażony w artykule mym bezpośrednio po tem zdaniu pogląd, że „nowa prosperity powstanie na podstawie obecnego układu sił gospodarczych i, że do cen poprzednich „tłustych lat" niema nawrotu".

Nie oznacza to bynajmniej, że uważam za niemożliwą zmianę obecnego poziomu cen w kierunku zwyżkowym, nawet w stosunkowo niedalekiej przyszłości. Nie przesądzam również tego, że w perspektywie dłuższego okresu czasu możliwy jest poziom cen wyższy od poziomu z 1929 r. Twierdzę natomiast raz jeszcze, że ostatnie wypadki na arenie gospodarstwa światowego, a zwłaszcza stabilizacja „od góry" dolara, kładzie kres szeroko rozpowszechnionej jeszcze kilka miesięcy temu wierze, że dewaluacja dolara to tylko zarządzenie chwilowe, że dolar wróci do dawnego parytetu wówczas, gdy „rozhuśtane" przez jego przejściową dewaluację życie gospodarcze Stanów Zjednoczonych dojdzie do rozkwitu. Wówczas bowiem będą ceny wysokie, duża rentowność, dłużnicy płacić będą dawne długi i t. d. A że Stany Zjednoczone reprezentują poważną część gospodarki światowej, więc gdy one „nakręcają konjunkturę", możemy to i my zrobić, żeby się aby nie spóźnić do tego „raju dobrobytu", który czeka wkrótce na zmęczoną kryzysem ludzkość. Przecież już „wszędzie na Zachodzie" o tem się myśli. Więc trzeba wreszcie i u nas skończyć z barbarzyńskiem i „bolszewickiem" dążeniem do zniżki cen niektórych artykułów. Przeciwnie należy dążyć do zwyżki chwilowo jeszcze na niskim poziomie utrzymujących się cen rolnych. Przez użycie na ten cel skromnej sumy ok. 50 miljonów złp. możnaby ożywić konjunkturę...

Czy rzeczywiście „Przegląd Gospodarczy" już zapomniał, jak niedawno jeszcze — za jedne 50 miljonów chciano — cały kraj rozweselić?...

Ale dosyć tego!

Przy czytaniu notatki pana (czy panów) W. nasuwa mi się mimowoli na myśl dyskusja w jednem z towarzystw naukowych angielskich, w której pewien uczony twierdził, iż w jednym z narzeczy afrykańskich każde słowo oprócz swego właściwego znaczenia ma jeszcze sens akurat odwrotny, a pozatem oznacza pewien rodzaj wielbłąda. Wydaje mi się, że całą niemal notatkę „Przeglądu Gospodarczego" musiałbym interpretować według jakiegoś ukrytego sensu odwrotnego, o ilebym chciał się tam doszukać — polemiki.

Naprawdę polemiczne jest tylko zdanie: „Nie wątpimy, że dzisiaj i w najbliższym czasie poziom cen będzie znacznie niższy niż w 1928 r., nie wątpimy, że wyjście z kryzysu nie oznacza powrotu do warunków gospodarowania z przed 1929 r. *Ale zupełnie nie dla tych powodów, które przytoczył p. B. Łączkowski*".

Niewątpliwa siła argumentacji, bijąca z tego zdania nie pozwala mi dopatrywać się w niem odwrotnego znaczenia. Skondensowana forma natomiast każe mi w argumencie tym dopatrywać się... wielbłąda.

Bohdan Łączkowski.

TU COŚ NIE JEST W PORZĄDKU.

„Gospodarka Narodowa" przytaczała swojego czasu [1]) ogłoszenie Urzędu Skarbowego o licytacji w jednym z folwarków podwarszawskich.

W notatce tej poruszona była sprawa dziwnej niefrasobliwości urzędników fiskalnych, którzy dla pokrycia niewielkiej sumy gotowi byli sprzedać po śmiesznie niskich cenach cały żywy i martwy inwentarz tego folwarku.

Ostatnio cała niemal prasa przyniosła w sprawozdaniach z sali sądowej wiadomość o epilogu podbonej sprawy.

Jakiś obywatel 57 czy 67-letni, a więc w statecznym wieku znieważył czynnie sekwestratora za to, że ten chciał zabrać z mieszkania fortepian wartości paru tysięcy złotych, jako zabezpieczenie należności wwysokości zł. 8 gr. 90.

W rezultacie krewki obywatel skazany został na 6 miesięcy więzienia. Niestety, prasa nie podaje do wiadomości, co się stało z sekwestratorem. Czy został on surowo ukarany za *działalność antypaństwową*, jaką jest niewątpliwie tego rodzaju postępowanie. Nie wydaje się nam bowiem, by mogły istnieć w tym wypadku jakieś „okoliczności łagodzące" dla p. sekwestratora. Próba sfantowania przedmiotu wartości paru tysięcy złotych dla zabezpieczenia należności w sumie zł. 8 gr. 90 jest wyraźnem nadużyciem władzy. Nie mogą istnieć przepisy uprawniające do tego rodzaju postępowania.

---

[1]) „Gospodarka Narodowa" Nr. 1933 — Notatka p. t. „Bezpłatne ogłoszenie".

Państwo nie może bowiem dążyć do *krzywdy swych obywateli.* Wynikiem tego rodzaju postępowania jest wyrok sądowy, o którym wiadomość dziaał bardziej podburzająco od ulotek organizacyj wywrotowych.

Nigdy bodaj majestat Rzeczypospolitej nie jest silniej na szwank narażony, jak w wypadkach, gdy tego rodzaju postępowanie nosi charakter — postępowania urzędowego.

Nie przesądza to kwestji, że krewki obrońca swego fortepianu nie miał racji, aż tak bardzo się unosząc.

Ale, pomimo, iż jesteśmy, jak głosi fama, „organem urzędników państwowych", sympatje nasze są po stronie porywczego obywatela i to tembardziej, że należność 8 zł. 90 gr. pochodziła z niezapłaconej składki na rzecz instytucji tak powszechnie „popularnej", jaką jest... Kasa Chorych.

w. d.

REDAKTOR ODPOWIEDZALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". **CZESŁAW BOBROWSKI**

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.